

Samotnie w góry

Każdy wie, bo jest to zgodne z prawdą, że w góry nie należy chodzić samemu. Głównie ze względów bezpieczeństwa. Choć w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy posiadają telefony komórkowe, samotne wyjście w góry nie jest już takie "samotne". W razie potrzeby można bowiem wezwać pomoc czy zawiadomić bliskich gdzie jesteśmy. Niestety w zeszłym wieku nie było takiej możliwości. Dlatego każde wyjście w pojedynkę było ryzykiem. I aby to było dobrze zrozumiane: każde takie wyjście groziło nie tylko, iż coś nam się stanie ale groziło, że będzie to już ostatnia wycieczka w naszym życiu. Bo góry to jest żywioł nie do opanowania. I powiem szczerze, nic ale to zupełnie nic, nie jest w stanie nas ochronić przed tym żywiołem. Będąc w górach jesteśmy zdani na to co los nam przyniesie. Oczywiście jeśli jesteśmy dobrze przygotowani oraz posiadamy jakieś doświadczenie i potrafimy zachować zdrowy rozsądek to możemy wyjść cało z wydawałoby się tragicznych sytuacji. To co przed chwilą napisałem jest prawdą i wszyscy pewnie się z tym zgodzą. Jednak ludzie młodzi inaczej widzą świat, a cóż dopiero prostą wycieczkę w górach, w środku Europy. Myślą sobie: przecież tutaj nie można zabłądzić, tutaj nic nam się nie może przytrafić. Do tego są pewni swojej kondycji fizycznej, no i nie posiadają jeszcze odpowiedniego doświadczenia, bo i gdzie je mieli zdobyć. Ja, mimo iż teraz wiem, że nie powinno się tak postępować, w latach swojej młodości wyruszałem w góry sam. Ba niejednokrotnie wyruszałem w nocy, w deszcz, czy wręcz podczas szalejącej śnieżycy. Nie myślałem wówczas o konsekwencjach takiego postępowania. Nie myślałem o tym, że moi bliscy będą się martwić brakiem wiadomości ode mnie. Często, bowiem wychodziłem z domu na kilka dni. I przez tych kilka dni nikt nie wiedział, co się ze mną dzieje. Dopiero, gdy wróciłem było wiadomo, że nic mi się nie stało i wszystko jest w porządku. Teraz sam wiem, że takie postępowanie z mojej strony było, co najmniej nieodpowiedzialne, żeby nie powiedzieć głupie, ale wtedy wydawało mi się to normalne. Oczywiście pierwsze załamania pogody były dla mnie zaskoczeniem. Jednak nie zawracałem z obranej trasy. Później przyzwyczajałem się do warunków zimowych. Do coraz większej ilości zalegającego śniegu i coraz większego mrozu. Ponieważ w góry chodziłem bardzo często, nieraz było to nawet trzysta dni w roku, miałem możliwość przyzwyczać się do bardzo różnych warunków atmosferycznych. A szybko zmieniająca się pogoda w górach nauczyła mnie odpowiedniego ubierania się oraz zabierania nieraz wydawałoby się niepotrzebnych w górach rzeczy. Wyglądało to komicznie, gdyż wszystko pakowałem do wielkiego plecaka z kominem, który wystawał mi wysoko ponad głowę. Muszę powiedzieć, że waga plecaka niejednokrotnie przekraczała osiemdziesiąt kilogramów. Cóż to jednak było dla młodego, silnego człowieka. Z takim obciążeniem potrafiłem, gdy zachodziła potrzeba, odbyć kilkugodzinny bieg. I nie przeszkadzało mi, że droga jest kamienista czy padający deszcz zmieniał ją w rwący i mulisty ciek. Na szczęście robiono wtedy porządne buty do turystyki górskiej. Były one szyte ze skóry, posiadały wkładki filcowe albo z kozucha. Fakt ważyły po kilka kilogramów każdy. Jednak w takim obuwiu można było wejść do strumienia i po przejściu nim kilkuset metrów dalej mieć suche nogi. A przyznam się, często, zwłaszcza w zimę, tak robiłem. Gdy opuszczały mnie siły, po prostu szukałem jakiegoś strumyka, wchodziłem do niego i schodziłem jego korytem w dół. Nasze góry mają takie ułożenie, że nie było obawy by nie dotrzeć do jakiś zabudowań. A często, ze względu na zaleganie wielometrowej warstwy śniegu, takie wędrowanie było jedynym możliwym sposobem w miarę szybkiego dostania się do cywilizacji. Oczywiście na buty trzeba było zakładać odpowiednie getry, tak by woda nie wlała się do środka. Ja miałem szczęście ponieważ znalazłem starszego krawca, który pamiętał jeszcze jak się szyje różne potrzebne w górach odzienie. Uszył mi wiele rzeczy, w tym getry. To właśnie on zaproponował mi uszycie szarawarów, czyli takich spodni za kolana. Jedne zrobił mi jako wiązane, drugie na guziki, trzecie na zameczek. Mówię tutaj oczywiście o zakończeniu nogawek. Okazuje się, że ten przedwojenny patent wcale nie był taki głupi. Pozwalało to w razie ładnej pogody szybko odsłonić nogi by było chłodniej, a w razie deszczu szybko założyć na buty getry mocowane haczykami i zabezpieczyć nogi przed zmoknięciem lub przed zadrapaniami w razie przedzierania się przez gęstwinę. Zimą wystarczyło założyć pod getry długie skarpety i już było i ciepło i sucho. Jednak

należało pamiętać, że do butów zakładało się dwie pary skarpet. Jedne krótkie, drugie długie. Dzisiaj już nikt tego nie stosuje. Mało tego, kiedyś w butach do turystyki górskiej, a zapewniam, że takie obuwie było bardzo trudno zdobyć, jeździło się na nartach. A więc buty te musiały być odpowiednio wytrzymałe. Musiały też mieć możliwość zakładania raków. Pewnie zdziwi się ktoś słysząc o tym, bo po cóż w naszych górach raki. A jednak. Sam często idąc w góry zabierałem je ze sobą. Były bowiem miejsca, w których aby nie zapadać się po pas w śniegu, zakładało się narty, ale aby nie spaść z oblodzonego zbocza w przepaść, zakładało się jeszcze dodatkowo raki. Wyglądało to może komicznie ale było bardzo skuteczne. Zwłaszcza gdy wychodziliśmy w góry w kilka osób a mieliśmy tylko jedną lub dwie pary nart. Robiło się to tak, że na nartach, zarówno przed, jak i za idącym na nich, stawało jeszcze kilka osób. Maksymalnie mogło stanąć dwie osoby z przodu i dwie z tyłu. Jednak gdy wszyscy mieliśmy wielkie plecaki to już mogły to być tylko dwie osoby: jedna z przodu, druga z tyłu. Tak właśnie chodziło się wtedy. Było to bezpieczne i dawało możliwość w miarę szybkiego przemieszczania się. Dzisiaj nie ma już tak dużych opadów śniegu jakie miały miejsce w latach siedemdziesiątych XX wieku. Wtedy gdy szło się w zimę często widać było tylko czubki choinek. Nic więc dziwnego, że gdy ktoś spadł z tych nart to nie były to żarty. Bo nie tylko, że niknął nam z oczu w śniegu, to najczęściej bywało tak, iż trafiał na pustkę pod śniegiem i wpadał do płynącego tam strumyka. Mieliśmy w takich wypadkach wiele kłopotu by wyciągnąć taką osobę z powrotem. Często trzeba było używać lin, tak głęboki był wtedy śnieg. Dodam tylko, że nieraz kilkusetmetrowy odcinek jaki przebywaliśmy na nartach powiedzmy w jedną, dwie godziny, idąc pieszo, bez nart na jego przejście potrzebowaliśmy nawet do trzynastu godzin. Był to dla nas wielki wysiłek. A że bardzo często, właśnie ze względu na czas potrzebny do pokonania zaplanowanego odcinka trasy, nie zdążyliśmy przed zmierzchem, wiele godzin naszego marszu pokonywaliśmy w nocy. Oczywiście śnieg powodował, że było jasno, jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy przystanąć, gdyż w takich warunkach moglibyśmy tego nie przeżyć. A więc zmęczeni posuwaliśmy się wciąż do przodu nie bacząc na upływ czasu i sił jakie nam pozostały. Koniecznym było dotarcie do chatki by szybko ugotować herbaty, bo tylko dawka gorącego napoju mogła nas postawić na nogi. I nie można w takich razach było zwątpić. Każdy kto by to uczynił zostałby już tam na zawsze. Dlatego nieraz w takich właśnie momentach posuwaliśmy się nawet do rękoczynów. Osobę która chciała zostać na trasie, po bezskutecznych namowach, czasami okładaliśmy jakimś kijem albo kijkami do nart. Był to jedyny skuteczny sposób by zmusić ją do podjęcia dalszego wysiłku. Oczywiście po dotarciu na miejsce żadna z tych osób nie miała pretensji do kolegów używających kija, byli im wdzięczni za pomoc. Wiedzieli, że bez tak stanowczej postawy nic by ich nie uratowało. Czasami tylko żartowali, że można było użyć kija mniej sękatego. Ale to już szczegół.

Czasami samotna wędrówka okazywała się tak trudna iż zapadała nam w pamięci. Pamiętam jak umówiliśmy się na sylwestra w "Smogorniaku". Ponieważ musiałem dłużej zostać w pracy, wybrałem się w drogę z dużym opóźnieniem, a tym samym musiałem iść już sam. Wszyscy poszli z odpowiednim wyprzedzeniem czasowym. Niestety gdy pokonałem już połowę drogi zaczęła się zamieć. Początkowo mi to nie przeszkadzało ale później, gdy wiatr przybrał na sile, zacząłem się obawiać czy wystarczy mi sił by dotrzeć do chatki. Niestety odwrót nie wchodził już w rachubę. Za daleko już zaszedłem. Ze względu na tak trudne warunki szło mi się coraz ciężiej. No i czas płynął coraz szybciej. Wiedziałem, że nie zdążę już przed północą. Ale cóż. Ważne było bym w ogóle dotarł na miejsce. Zatem gdy doszedłem do strumyka płynącego przed chatką cieszyłem się bardzo. Szybko zsunąłem się w śniegu na dół i zacząłem piąć się w górę na drugi brzeg. Niestety padający śnieg był taki sypki, że wciąż się ześlizgiwałem do strumienia. Związałem zatem narty robiąc z nich drabinę. Jednak było to za mało. Brakowało jeszcze parę metrów by osiągnąć cel. Przez chwile pomyślałem, że może jednak warto pomyśleć o odwrocie, ale po chwili okazało się to także nierealne. Ponieważ widziałem momentami palące się światełko w jedynym z tej strony okienku, zacząłem drzeć się ile miałem sił. Wichura jednak była głośniejsza. Wiatr gwizdał i wył tak, że na pewno nikt nie mógł mnie usłyszeć. Cóż było robić. Troszeczkę zaczynałem się bać, tym bardziej, że kilka razy wpadłem do strumyka i zaczynało mi się robić zimno. Oczywiście było, że nie przetrzymam nocy w takich warunkach. Na szczęście komuś z obecnych w chatce zachciało się siusiu i ze zwykłego lenistwa nie poszedł do ubikacji postawionej nieco dalej, tylko wyszedł za chatkę, właśnie od strony strumyka.

Jeszcze nigdy nie krzyczałem tak głośno jak wtedy. Tak się darłem, że kolega ten usłyszał mnie. Zaskoczony ale zaciekawiony co się dzieje podszedł bliżej i gdy zobaczył w jakiej się znalazłem sytuacji pobiegł z powrotem do chatki. Zapomniał o tym po co tutaj przyszedł. Zaraz wylegli prawie wszyscy by mi pomóc. Jak się okazało nie było to wcale takie proste. Wichura prawie przewracała ich, nie mogli podejść zbyt blisko jaru by nie wpaść do mnie. W końcu powiązali liny, które mieli i z daleka dorzucili je do mnie. Udało mi się chwycić i zostałem wspólnym wysiłkiem wyciągnięty na górę. Tam dostałem szybko gorącej herbaty, przebrałem się w suche ciuchy i owinięty kocami grzałem się przez dłuższą chwilę przy kozie. Nigdy nie myślałem, że ciepło z rozgrzanej kozy może dać tyle przyjemności. Dosłownie czułem jak odtajam, tak byłem już przemarznięty. Po pierwszym okresie przerażenia zaczęliśmy wszyscy żartować sobie z zaistniałej sytuacji, a kolega który mnie zauważył przypomniał sobie w końcu po co on tam szedł. Poleciał zatem szybko za chatkę.

Innym razem gdy umówiliśmy się w "Morgance", byliśmy pewni iż wszystko pójdzie jak po maśle. Jak się okazało wcale tak nie było. Mimo iż był maj, a więc i pogoda dobra, wszystko poszło nie tak jak powinno. Najpierw ja spóźniłem się o wiele godzin, ponieważ zdawałem wtedy egzamin maturalny. Do Karpacza dotarłem dopiero ostatnim autobusem, czyli było już zupełnie ciemno. Do tego gdy wysiadałem zaczął niespodziewanie sypać śnieg. Dosłownie w ciągu krótkiego czasu nasypało go tyle, że miałem trudności by kontynuować wędrówkę. Jednak gdy pomyślałem sobie, że wszyscy czekają na mnie zdałem sobie sprawę że muszę iść dalej. Wynikało to z faktu podziału prowiantu. Niektóre rzeczy miałem ja inne oni. Ponieważ podział nastąpił bardzo nierozważnie, wykorzystanie niektórych elementów ekwipunku stawało się niemożliwe. Bo gdy jedna strona miała maszynki do gotowania to druga niosła paliwo do nich. Zatem brnąłem dalej, tyle tylko, że ze względu na warunki pogodowe jakie nastąpiły zszedłem z drogi i przedzierałem się na przełaj. Najgorzej było gdy dotarłem do granicy kosodrzewiny, zasypanej już śniegiem. Przejście to dało mi się nieźle we znaki. Zatem gdy ujrzałem chatkę byłem szczęśliwy. Nie zwróciłem wtedy uwagi, że nie widać żadnego światła. Gdy wreszcie dotarłem na miejsce okazało się iż nikogo tam nie było. W pierwszej chwili nie wiedziałem co robić. Pomyślałem sobie, że może oni zabłądzili, ale po chwili uświadomiłem sobie, że przecież śnieg zaczął sypać dopiero pod wieczór, oni zaś wyruszyli z samego rana. Niemożliwe zatem by nie zdążyli dotrzeć tu przed załamaniem pogody. Uznałem zatem, że nie ma się co przejmować ich losem, tylko trzeba myśleć co zrobić by samemu nie zamarznąć. Przecież nie miałem ognia, było niesamowicie zimno, no i byłem przemoczony. Zrobiłem przegląd tego co miałem w plecaku i po przebraniu się krążyłem, czyli raz wskakiwałem na stryżek, by po zamknięciu klapy trochę się zagrzać (o śnie raczej nie było mowy), raz wychodziłem na dwór by podreptać wokół chatki wypatrując czy ktoś nie idzie. Udało mi się wtedy jakoś dotrzeć do rana. Pogoda już się ustabilizowała, mogłem zatem wracać do domu. Tam okazało się iż umówieni ze mną ludzie zmienili zdanie i poszli do innej chatki. Później, gdy zobaczyli co się dzieje, żalowali swojej decyzji ale było już za późno i zbyt niebezpiecznie by próbować dotrzeć do Morganki. Zostali zatem na noc w Smogorniaku, gdzie byli bezpieczni. Wszystko skończyło się wtedy dobrze ale takie zachowanie jest bardzo niedobre. Raz ze gdy się umawiamy to należy dotrzymywać danego słowa, dwa gdy czyni się to w górach to, jak się okazuje może to zagrozić życiu. Bo co by tu nie mówić, gdyby na moim miejscu znalazł się mniej doświadczony turysta, różnie mogłoby się to skończyć.

Musze tutaj powiedzieć, że nieraz samotne wyjścia są niebezpieczne nie tylko w górach. Kiedyś miałem taki dziwny zwyczaj. Pakowałem plecak, szedłem na dworzec PKP i patrzyłem dokąd odjeżdża najbliższy pociąg. Wsiadałem do niego i jechałem, jakby to powiedzieli dawni harcerze, po przygodę. Któregoś razu pojechałem pociągiem gdzieś w okolice Piły. Wysiadłem na jakimś zadupiu. Był środek nocy, gdzieś kolo pierwszej godziny. Poza budynkiem stacyjnym nie było tu żadnych zabudowań. Na szczęście było w miarę ciepło. Jednak noc okazała się bezksiężycowa czyli było ciemno jak... No wiecie gdzie. Popatrzyłem na mapę, jest jakiś szlak turystyczny. Zatem ruszam przed siebie. Po chwili, pewnie dla podbudowania mojego nastroju, dochodzę do cmentarza. Niestety moje samopoczucie nie poprawia się. Wchodzę do lasu i po jakiś trzech, czterech godzinach marszu słyszę jakieś wycie. A tu głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Mam wrażenie że to wilki. Myślę jednak sobie; głupiś skąd tutaj wilki. Jednak do końca nie jestem tego pewny. Zatem przyspieszam kroku. Niedługo zaczyna się rozwidniać. W sumie, ponieważ w tamtym czasie nie było takich map jakie mamy dzisiaj,

nie wiem do końca gdzie jestem. Na szczęście widzę ludzi. To drwale pracujący w lesie. Dzięki nim wiem jak iść dalej. Docieram zatem do miasteczka, w którym jest stacja kolejowa. Wsiadam do pierwszego pociągu i wracam do domu. Tak to jest gdy wyrusza się na wycieczkę bez stosownego przygotowania.

Ale zdarzają się także zabawne sytuacje samotnym wędrowcom. By nie przynudzać opowiem o jednej jaka mi się przydarzyła. Postanowiłem pochodzić po Wielkopolskim Parku Narodowym. Pojechałem więc pociągiem. Wsiadłem na małej stacyjce, a że przebiegał tamtędy szlak turystyczny ruszyłem przed siebie. Pogoda nie była zbyt ciekawa. Ponuro i szaro, jakoś tak dziwnie. Ponieważ sezon już się skończył wędrowałem samotnie nie napotykając żadnego innego szaleńca. Dziwnym mi się wydało gdy co chwilę spotykałem tabliczki ostrzegające przed wściekłymi lisami. Maszerowałem sobie tak przez cały dzień, a że z domu wyjechałem nocnym pociągiem poczułem lekkie zmęczenie. Zatem gdy dostrzegłem budynek z pokojami do wynajęcia poprosiłem o nocleg. Pani początkowo zdziwiła się skąd wziął się, o tej porze roku, turysta. Jednak nie odmówiła. Powiedziała tylko, że będę miał trochę zimno zanim grzejnik elektryczny się nagrzeje, bo będę jedynym gościem w budynku. Nie przeszkadzało mi to jednak. W pokoju było o wiele cieplej niż na zewnątrz. Wziąłem więc prysznic, zagotowałem sobie herbatkę, coś przekąsiłem i położyłem się spać. Gdy się obudziłem zobaczyłem, że za oknem już świta. Zerwałem się na równe nogi. Miałem bowiem do przejścia sporo kilometrów a wiadomo, że pociąg nie poczeka. Spakowałem się, wszystko powyłączałem i poszedłem do właścicielki by oddać klucze. Ta szeroko otworzyła oczy była tak zdziwiona. Już pan odpoczął? Zapytała. Bo wie pan, zaraz zrobi się ciemno, a po nocy wędrować to chyba nie najlepszy pomysł. Po chwili zaczęła się śmiać. Musiałem mieć głupią minę. Okazało się iż szybko zasnąłem, szybko odpocząłem i obudziłem się już po chwili. A to szare za oknem co wzięłem za świt było zmierzchem. Nie pozostało mi nic innego jak przeprosić za zamieszanie i ponownie udać się na spoczynek. Tym razem obudziłem się o świcie i nie stworzyłem głupiej sytuacji.

Tak to właśnie bywa gdy na wycieczkę wybieramy się w pojedynkę. Chociaż czasami niewiele lepiej jest gdy ruszamy we dwoje. Ponieważ do tej pory przedstawiałem trochę dziwne sytuacje, na koniec mojego wywodu o samotniczym wędrowaniu, opowiem co mi się przydarzyło wiele lat temu w Górach Izerskich. Wybrałem się na nocną wycieczkę tak by do rana dotrzeć do chatki Walońskiej. Gdy weszliśmy do lasu było już zupełnie ciemno. Na szczęście po chwili pojawił się księżyc. Baterie w latarce nie wystarczyły nam na zbyt długo. Dlatego byliśmy zadowoleni z tego faktu. Poza tym czyż nie jest to romantyczne spacerować nocą, pod rozgwieżdżonym niebem, z ładną dziewczyną. Nie spieszyliśmy się za bardzo, gdyż była to naprawdę bardzo ciepła noc. Na niebie świeciły tysiące gwiazd, tak że często siadaliśmy sobie by na nie popatrzeć. Poza tym trzeba było dobrze uważać na korzenie wystające przy ścieżce by się nie potknąć. Wszystko nam się wtedy podobało. Zaczynaliśmy przecież dopiero życie. W pewnym momencie, gdy księżyc schował się i nastąpiła chwila ciemności, zobaczyłem jak idąca przede mną dziewczyna jakby nagle znikła. Po chwili usłyszałem cichy plusk. Niewiele zastanawiając się wyciągnąłem rękę do przodu i zacisnąłem dłoń. Poczułem, że coś złapałem, pociągnąłem więc w swoją stronę. Wtedy księżyc ponownie oświetlił teren i naprawdę przestraszyłem się. Okazało się, że idąca przede mną dziewczyna zniknęła gdyż wpadła do dołu po wybranej borowinie. Kto wie czy by w nim nie została na zawsze gdyby nie przecucie. Musiałem chwycić jej kurtkę w ostatniej chwili, wtedy właśnie usłyszałem ten plusk. Oboje byliśmy w szoku. Na szczęście wszystko skończyło się szczęśliwie. A Ania, bo tak miała na imię, została moją żoną i od tej pory chodziliśmy po górach razem. I jesteśmy razem do dnia dzisiejszego.

Krzysztof Tęcza